



portret online

36

portret online

styczeń 2008



Ciemno wszędzie, nic nie będzie

Nie lubię kryminałów. Lubię książki, w których „dzianie się” nadane jest wyobraźni, emocjom i uczuciom. W typowych kryminałach (bo mają wiele podgatunków) trup ściele się gęsto, a czytelnik z zapartym tchem śledzi wzrokiem kolejne strony, by dowiedzieć się, kto i dlaczego zabił. Niektórzy darują sobie ten skomplikowany proces dochodzenia do prawdy i od razu czytają zakończenie. I mnie naszła taka ochota, albowiem książka Pasewicza nużyła mnie niemilosiernie.

„Śmierć w darkroomie” odgórnie zakwalifikowano do literackiej kategorii kryminału. Co więcej, to ponoć gejomski kryminał, więc sytuacja zapowiada się przyjemnie dwuznaczna i kusząca tym bardziej. Niestety, opowieść sama w sobie skonstruowana jest w dość sztampowy sposób, a Pasewicz posłużył się tu poetyką kryminału, aby „dokończyć” zarówno gejom, jak również ich prześladowcom, a przede wszystkim wsłuchanej w audycje Radia Maryja, rozmodlonej i dwulicowej Polsce.

Ale do rzeczy. Oparta na faktach introdukcja może zafrapować. Oto bowiem po poznańskiej Paradzie Równości, brutalnie rozpedzonej przez policję, w darkroomie jednego z klubów gejowskich zostają znalezione zwłoki Igora. Dość szybko śledztwo się urywa, a my

przenosimy się z chłodnego listopada do gorącego czerwca, kiedy to brat zabitego o wdzięcznym nazwisku Zielony próbuje rozwikłać tajemniczą zagadkę śmierci Igora.

Już na samym początku zauważyć można, że to nie o biednego Igora będzie w tej powieści chodzić, a o Zielonego, który na przeprowadzenie swego quasi-śledztwa ma dokładnie trzy dni, bo tyle urlopu dostał od warszawskich przełożonych. Przyglądając się poczynaniom Zielonego, nie sposób dziwić się temu, że w swojej pracy nie jest szanowany i doceniany, bo jako policjant po prostu wypada błado. Sam Zielony zresztą powie o sobie: „Mam poczucie, że za cokolwiek się biorę, zaczyna się rozłazić”. Rozłazi się nie tylko jego poczynania, mające na celu zdemaskowanie mordercy, rozłazi się także schemat fabularny powieści, bo oto okazuje się, iż mamy do czynienia nie z kryminałem, a raczej z obyczajową powieścią, która penetruje zakamarki duszy Zielonego, ujawnia nam jego kompleksy i skomplikowane relacje łączące go z rodzicami, u których musi przemocować podczas swego pobytu w Poznaniu.

Dowiadujemy się sporo o dzieciństwie i młodości Zielonego, o szykanach ze strony rówieśników, o doprowadzającym go do rozpaczy introwertycznym

charakterze, ale przede wszystkim o całej masie kompleksów, które nadal – jako dorosły mężczyzna – nosi i chyba nawet pielęgnuje w sobie. Wyjazd do Warszawy był dla niego ucieczką od traumy dzieciństwa i rodzinnego domu. Zresztą pierwsze chwile pobytu w rodzinnym mieście nasuwają mu takie oto refleksje: „W tym mieście wszyscy gdzie się spieszą. Chodzą na sztywnych nogach, jakby mieli ostatnie stadium kiły. Żadnej giętkości w ruchach. Ordnung i pruskie pikielhauby. Jakby dyrygowali nimi zdechły przed tysiącem lat graf von Kirchbach, i jakby ciągle mieli do swych toreb, plecaków i siatek przytroczone karabinki Dreysego”. Bohater długo błąka się bez celu po mieście, zanim stanie twarzą w twarz z despotycznym ojcem i matką, będącą męża cieniem i niewolnicą.

Podczas tej wędrówki jest bacznie obserwowany przez pewnych bliźniaków. Oskar i Olaf to pierwsze dokładnie sportretowane postacie homoseksualistów, których w książce będzie coraz więcej. I tak jak do miejsca śmierci Igora – Grzechu Warte – bywalcy schodzą się stopniowo z upływem nocy, tak na kolejnych kartach powieści pojawiać się będą coraz to nowe postacie z gejowskiego półświatka, bo to przecież rejon poszukiwań Zielonego, wszak jego brat był gejem.

Poznamy całą galerię dziwaków, którzy w mniejszym lub większym stopniu utożsamiają się ze środowiskiem gejowskim i którzy próbują budować swą tożsamość na własnej seksualności, do której Zielony ma ambiwalentny stosunek. Poznamy zatem ciotki lewaczki, ciotki kontestatorki, ciotki konsumpcjonistki i anarchistki. Pasewicz z dużą swobodą pisze o wewnętrznych podzia-

łach w środowisku homoseksualistów i wypada w tym dość przekonująco. Różnorodność poznawanych postaci jest duża: „Bo ciotki się dzielą na frakcje, ugrupowania, kółka wzajemnej adoracji, kanapowe partie, a każda ciotka dzieli się jeszcze wewnątrznie”. Gdzieś pomiędzy nimi miota się szukający prawdy o morderstwie brata policjant i Eminencja, który przyjeżdża specjalnie z Krakowa, aby incognito obserwować najpiękniejszy dar boży – młodych chłopców z ich wszelkimi przymiotami.

Zdecydowanie bardziej w porównaniu z karykaturalnym i groteskowym przedstawianiem „podziemia mniejszościowego” wypada krytyka Polski i Polaków – tych, którzy na co dzień gejami gardzą i tych, którzy chętnie wysłaliby ich do gazu. Jest w książce jednak kilka przejmujących i ciętych komentarzy dotyczących istoty polskości, jak choćby te słowa: „Po śmierci w tym kraju wszyscy, niezależnie od przekonań, zostają chrześcijanami, a osobliwie często katolikami. To w końcu kraj cudownych transformacji. Ludzie w tym kraju z Gustawów przemieniają się w Konradów, heterycy zostają pedałami, a pedały idą do nieba, chociaż się nie wypowiedziały. Tak, to kraj, gdzie kardynał ma więcej do powiedzenia, niż ktokolwiek inny. Cudowna, zakamuflowana monarchia. Taki kraj, gdzie biskup robi nam raj”. Złość na polską mentalność i polski problem nietolerancji zostają zawarte w kryminalnej opowieści o gejach i ma się wrażenie, że w historii tej chodzi przede wszystkim o atak na nasze wady narodowe.

A sam wątek kryminalny? Dłuży się, przeciąga w nieskończoność, ślimaczy i chwilami nawet zamiera. Bohaterowie powieści wypijają hektolitry alkoholu,

potem opróżniają swe pęcherze z tego alkoholu, wdają się w mniej lub bardziej powiązane z postacią nieżyjącego dyskusje. Zielonemu zależy przede wszystkim na odnalezieniu chłopaka, który żył z Igorem. Paradoksalnie spotyka go już na samym początku, w przedziale pociągu wiozącego go do Poznania. Ale tak naprawdę to nie Mikołaj da mu wskazówki naprowadzające na postać mordercy. I nie będą to też cytaty z pamiętnika zabitego, który zostaje zabrany z darkroomu przez jednego z bliźniaków...

Mam wrażenie, że polska literatura współczesna przeżywa jakiś wydawniczy boom związany z homoseksualizmem i jego przedstawianiem. Po Witkowskim i Żurawieckim, Pasewicz próbuje się nieśmiało wpisać w nurt literatury gejowskiej. Ta groteskowa efemeryda literacka, jaką jest „Śmierć w darkroomie”, z pewnością nie zaistnieje w wyrazisty sposób. Ta książka po prostu rozkleja się sama w sobie, tak, jak rozkleja się wewnętrznie nasz główny bohater i niektóre postacie, jakie mu towarzyszą w wędrówce po fotograficznie wręcz portretowanym Poznaniu.

Przypuszczam, że książka Pasewicza umrze tak samo jak Igor. I będzie to śmierć naturalna, albowiem powieść nie wywoła ani wzruszenia, ani wzburzenia, może jedynie znudzić i spowodować, że już parę dni po przeczytaniu nie pamięta się o tym, o czym traktowała. A w swym ataku na polskość i jej przywary Pasewicz jest po prostu odtwórczy. Być może autor winien wrócić do materii, w której czuje się pewniej – do poezji.



Edward Pasewicz,
Śmierć w darkroomie,
Wyd. EMG,
Kraków 2007.

W poszukiwaniu straconej tożsamości

W momencie, kiedy miliony Polaków zarabiają na życie za granicą, należy zastanowić się, co ich wygania z ojczyzny i czy to, co znajdują w obcym kraju, naprawdę można nazwać szczęściem? Na te pytania niewątpliwie pomaga opowiedzieć Kiran Desai w swojej najnowszej książce. Choć indyjska pisarka w „Brzemieniu rzeczy utraconych” opisuje indyjskich emigrantów, łatwo wysnuć wnioski, że los biednego „uchodźcy” przybywającego do krajów, gdzie ktoś stamtąd jest kimś znikąd, jest podobny. I to niezależnie od tego, czy jest on Hindusem, Rosjaninem czy Polakiem. Nie można jednak uznać „Brzemienia rzeczy utraconych” za książkę opowiadającą jedynie o emigracji. Takie uproszczenie sprawy byłoby bowiem dla laureatki The Man Booker Prize krzywdzące. Powieść indyjskiej pisarki mówi nie tylko o negatywnych stronach globalizacji (wyzysk biednych przez bogatszych), ale także o tajemniczych Indiach, które choć w ostatnim czasie stają się krajem modnym (niech świadczy o tym oszałamiająca popularność książek Salmana Rushdie’ego i Zadie Smith), to jednak wciąż my, Europejczycy, mało o nich wiemy. Jak przekonuje Desai, Indie bowiem to nie tylko znane z filmów bollywoodzkich przepiękne kobiety ubrane w malownicze sari, ale przede wszystkim permanentne

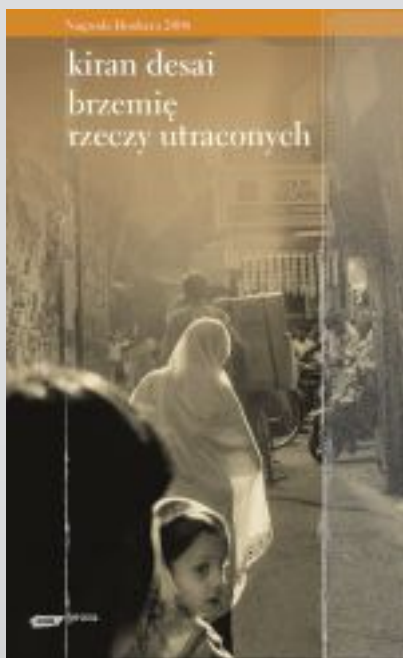
ubóstwo. „Sai wiedziała jednak, że gdy tylko dzień zgaśnie, nędzy nie będzie już można ignorować i stanie się jasne, że w tych domach panuje ciasnota i wilgoć, od gryzącego dymu można się udusić, mieszkańcy jedzą skąpe posiłki w świetle świec zbyt słabym, by można przy nich coś zobaczyć. [...] Wiadomo było, że [...] wszyscy mężczyźni piją za dużo, a rzeczywistość stacza się ku koszmarom, burdom i przemocy” – pisze autorka „Zadymy w dzikim sadzie” o indyjskiej rzeczywistości. W powieści Desai nawet historia miłosna nie kończy się happy endem. Jedną z bohaterek „Brzemienia rzeczy utraconych” – Sai zakochuje się w swoim korepetytorze Gjanie. Los chce jednak, że jest on Nepalczykiem, a w Indiach właśnie wzrasta się partyzancki ruch, którego celem jest utworzenie państwa Gorkhów. Gjan, pod wpływem hasła rewolucji odrzuca miłość Sai, ponieważ uznaje, że jest ona odzwierciedleniem wszystkich sprzeczności. „Ty chcesz tylko papugować. Nie umiesz myśleć samodzielnie [...]” – mówi do swej uczennicy młody Nepalczyk. W dobie tanich linii lotniczych i nieustannych promocji zachęcających do skorzystania z innych środków lokomocji oczywiste staje się, że podróż nie jest już tylko marzeniem, lecz staje się osiągalna na wyciągnięcie karty kredytowej. Wobec takiego stanu rzeczy należy

zadać sobie pytanie, czy pisanie książek pokazujących czarowne zakątki świata ma jeszcze sens? Najprostsza odpowiedź, która przychodzi mi do głowy, to że ma, jeśli książka jest dobra, tzn. że nie jest jedynie przewodnikiem, ale też wzbogaca artystycznie czytelnika i nakazuje mu odbyć podróż do miejsca, gdzie sam nigdy by nie dotarł. Dobra książka powinna treści turystyczne przemycać nijako mimochodem, czyli mimo dobrze skonstruowanej fabuły. I taka sztuka znakomicie udała się Kiran Desai. Jej najnowsza książka to bowiem nie tylko opis specyfiki Indii, ale nade wszystko zgrabnie napisana opowieść o losach kilkorga ludzi. Losach, dających rozpatrzeć się zarówno zbiorowo (wszyscy są niczym Judyem bezdomni), jak i indywidualnie. Desai czyni bohaterami „Brzemienia rzeczy utraconych” ludzi wyobcowanych: emerytowanego Sędziego, który poznawszy kulturę Zachodu, będzie starał się żyć zgodnie z jej prawdami w Indiach (choć chciałby inaczej, jako że urodził się w Indiach, zawsze będzie postrzegany jako Hinduś, nigdy jako Anglik), jego wychowaną w Anglii, a mieszkającą w Indiach, wnuczkę Sai i wreszcie syna kucharza Sędziego – Bidżu, pragnącego odnaleźć szczęście „na zmywaku” w drugorzędnych nowojorskich restauracjach. Wszyscy bohaterowie powieści autorki „Zadymy w dzikim sadzie” szukają swej tożsamości. Jednak tylko jeden z nich - Bidżu ją znajduje. Przekonuje się on bowiem, że jego jestestwo określa właśnie to, że jest Hindusem, i nie chcąc tak jak jego pracodawca Hari-Harry „produkować fałszywej wersji siebie”, postanawia wrócić do Indii. Fabułę „Brzemienia rzeczy utraconych” można w skrócie opowiedzieć tak: jest

rok 1986. Do domu emerytowanego sędziego przyjeżdża jego nigdy niewidziana wnuczka Sai (jej rodzice zginęli w wypadku). Ich jedynym sługą jest kucharz, którego syn Bidżu wyjechał do Ameryki, kojarzonej z sukcesem i wielkimi pieniędzmi. Okazuje się jednak, że pod tą powłoką dość banalnej treści ukrywa się drugie dno. Sędzia bowiem uczuciem darzy tylko sukę Mutt, a wszystkich innych, łącznie z żoną (w przenośni) i córką (dosłownie), nigdy nawet nie starał się poznać. Wiecznie kajający się przed swoim pracodawcą kucharz, handluje alkoholem. Sai z racji tego, że, choć jej rodzice byli Hindusami, to wychowały ją angielskie zakonnice, wszędzie będzie czuła się wyobcowana. Bidżu, choć znalazł się w miejscu dla wielu obywateli Indii wymarzone, wcale szczęśliwy się nie czuje. I to nie tylko dlatego, że tęskni za rodzinnym krajem, ale też choćby przez biegające w nocy, tuż przy jego głowie, szczury... Powieść indyjskiej pisarki to nie tylko bardzo wyraziste portrety indywidualnych postaci (charaktery bohaterów nakreślają zwłaszcza dynamiczne dialogi), ale też obrazy nowoczesnych społeczeństw – bogatego, uosobianego przez Amerykanów, i biednego, w tym samym stopniu można tu zaliczyć Hindusów, Nepalczyków czy Pakistańczyków, a może nawet Polaków. Hindusi w Indiach to naród biedny i podzielony, indyjscy Nepalczycy to z kolei społeczność przez wieki wyzyskiwana („uznaje się nas na poziomie służby” – mówi jeden z uczestników pochodu Gornhijskiej Armii Wyzwolenia) i wreszcie przebywający w USA Hindusi, rezygnujący z zasad wyznawanych przez swoich pradziadków („wygrywają ci, którzy dostrzegają różnicę między świętą krową i nieświętą

krową” – stwierdza Bidźu).

Wydawca powieści „Brzemie rzeczy utraconych” reklamuje ją jako książkę o nienawiści. Wydaje się jednak, że to nie nienawiść rządzi życiem bohaterów najnowszej powieści Kiran Desai. O ich egzystencji decyduje raczej zagubienie w niesprawiedliwym świecie. Z owej właśnie niesprawiedliwości rodzi się rozżalenie, które niekiedy przeraża się w nienawiść. Ta książka to też niewątpliwie przestroga dla emigrantów odwracających się od swej kultury na rzecz tej bardziej błyszczącej, a często mamiącej niczym pięknie opakowana bombonierka z przeterminowanymi czekoladkami w środku. Ale nade wszystko to naprawdę zręcznie napisana powieść, po którą warto sięgnąć, by uczestnictwo w haniebnym kole ignorantów dobrej literatury nie stało się naszym udziałem.



Kiran Desai,
Brzemie rzeczy utraconych,
tłum. Jerzy Kozłowski,
Wyd. Znak,
Kraków 2007.

Odwiedziny ze szkołą w tle

Rzut hasła przewodniego i oddanie głosu kilku (renomowanym, znanym, uzdolnionym, przeciętnym) pisarzom, a w końcu złożenie współautorskiego tomiku opowiadań o jednym, wspólnym temacie, zawsze się sprawdza. A do tego, im (zadawałoby się) bardziej przeciętne, oklepane, znane hasło, tym ciekawsze rezultaty można uzyskać. W słowie „szkoła” niewielu z nas znajdzie coś ciekawego. Można westchnąć z nostalgią, można wdrygnąć się z odrazą, można sapnąć z ulgą: „Już poza mną – nigdy więcej!” ... Pisarz za to potrafi coś jeszcze, może z tak konwencjonalnego semantycznie wyrazu wydobyć więcej: opisać, spiętrzyć napięcie, wyimaginować historię, której „nie było” i nie będzie... Tyle też trzeba na wstępie krótko powiedzieć o książce o bezpretensjonalnym tytule „Opowiadania szkolne” – po prostu. Opowiadań jest osiemnaście – niby tyle, ile lat do uzyskania dowodu tożsamości i jakiej takiej świadomości, do osiągnięcia wieku początku kariery, do początku dramatów-szczęść życiowych, do początku wszelkich wyborów. Osiemnaście skojarzeń ze słowem „szkoła” – dosłownych i zaskakująco rewolucyjnych. Nawet jeśli ktoś nie lubi opowiadań – bo „za krótkie”, „pozostawiają niedosyt”, „bo niejednolite” itp. – warto zatrzymać

się nad takim tomikiem, aby porównać nieskończoność wyobraźni, wielość możliwości ujęcia jednego tematu przez kilka osób.

Peleton rozpoczyna **Grażyna Bąkiewicz** opowiadaniem „**Dzień jak co dzień**”. Ciekawe. Wyznanie współczesnej kobiety, która, zdawałoby się, powinna być szczęśliwa: ma dobrego męża, a do tego SZCZERZE – co rano – patrząc w lustro, może sobie powiedzieć: „*Wyglądam nieźle, czuję się całkiem dobrze, kocham siebie*”. Tylko ta jej praca... Jest niewdzięczna, naraża narratorkę na kontakt z chamstwem i objawami agresji oraz stanowi stałe, dławiące źródło stresu. Wbrew pozorom nasza bohaterka nie jest jedną z kadr sił reagowania, nie musi na co dzień stykać się z ludźmi ze świata patologii, ona jest tylko... nauczycielką! Opowiadanie Grażyny Bąkiewicz przedstawia przyczynę wielu złych historii we współczesnej polskiej szkole: po prostu nauczyciel przestał być pedagogiem, czyli kimś, „kto wie” (zgodnie ze źródłosłowem). Następna z historii to „**Trauma**” **Zbigniewa Górniewa**: opowiadanie, które (w założeniu) miało w sposób żartobliwy prezentować nie tylko tak modne dziś, organizowane przez wszelakie kadry kierownicze, szkolenia psycholo-

giczne pracowników, ale i znaną aż za dobrze z mediów współczesną „politykę nacisku” na donos, lustrację, grzebanie w przeszłości, wewnętrzne oceny i „ocenki” współpracowników. Historia dyskusyjna.

Katarzyna Grochola niestety bardzo rozczarowująca: miała być z pewnością jedną z lokomotyw książki, a napisała coś bardzo stereotypowego w formie i przesłaniu. Jej „**Powrót taty**” w skrócie: opis przeżyć wewnętrznych głównego bohatera opowiadania, dwunastolatka ze „zbyt chudymi rękami i nogami oraz złym charakterem”. Z tego też powodu chłopiec ma stałe kłopoty w domu, w szkole i wśród kolegów. Dzieciak lubi czytać, marzyć i podziwia starszego brata, jego matka próbuje utrzymać rodzinę w jakim takim pionie, a ojciec zbyt ciężko pracuje, by zwracać na cokolwiek szczególną uwagę. Chłopiec odkrywa więc głębię świata klasyki literackiej języka polskiego i wtedy jego rodzina oczywiście... W tymże tonie ciągnie też **Marek Harny** w opowiadaniu: „**Honor Jolki Wenus**”. Szkoda czasu – historia zaczyna się od bójki z Bolkiem Pożogą w toalecie o honor tytułowej panienki, toczy się przez wspomnienia narratora, a kończy e-mailem po latach z niby-odpowiedzią niby-bogini. Jolka zmieszała go z błotem. Miała rację – bohater do luzu, opowiadanie tym bardziej.

Manula Kalicka za to, mimo iż powieliła kliszę romansową, nie czyni tego w sposób nudny: jej „**Ostatni walc**” zgrabnie wiąże nitki akcji między amerykańskim Manhattanem a polskim Jabłkowem i łączy w szczęśliwym związku dawną „szkolną” parę – Jacka i Annę. Jednym słowem: powrót do rodzinnej wioski, wyswatanie przez los i bardzo szczęśliwe zakończenie. „Super” – jak to dziś

mówią. Niestety, „nie-super” jest „**Złamane serce**” **Jarosława Klejnockiego**. Opisane w tym opowiadaniu problemy małego człowieczka (nauczyciela) na tle „spraw narodowych”, czyli przemian roku '89, tchną porażką literacką, gdyż połączenie hasła „Komuna upadła” z mikroświatkiem przepychanek w pokoju nauczycielskim całkowicie nie zdało egzaminu. Literackiemu połączeniu wątków obyczajowo-politycznych podołał za to **Janusz Majewski** w swojej opowieści o tytule „**Mała matura**”. Tam kawałek naszej historii tuż-powojennej w wiarygodny sposób przedstawia chłopak o sztubackich zapędach, który w ten sposób zaplątał swoją rodzinę w konieczność kontaktu z UB.

Kolejną parę połączoną klamrą specyfiki polskiej obyczajowości tworzą opowiadania **Ireny Matuszkiewicz** oraz **Iwony Menzel**. Pierwsze z nich, „**Bał przebie-rańców**”, ukazuje (w przyjemnych dekoracjach „leciwej przedwojennej willi”) „rodzinę bez mężczyzny”, czyli trzy pokolenia kobiet i zderzenie odmienności ich wspomnień szkolnych oraz w ogóle pojmowania jako takiego środowiska szkoły. Przyjemnie „babskie”. Natomiast „**Salon literacki Profesora Chruścika**” (dekoracja – „renomowane przedwojenne gimnazjum”) i analiza kadry pedagogicznej – konwencja „z humorem”, wyszła jak zwykle, czyli nuuudno... Nostalgia za Niemenem i magnetofonami „Bambino” bez polotu „Wojny domowej” to marny plagiat.

Zofia Mossakowska i jej „**Lekcja mistrza Leonarda**” to chyba najciekawsze i najbardziej zaskakujące literackie rozwinięcie motywu szkoły. Opowiadanie nawiązuje do tak modnych dziś filmów o młodym człowieku rzuconym w świat rekinów-wyjadaczy danego konkretnego

zawodu, do tak ulubionych dziś programów kulinarnych oraz *reality shows* o takiejże tematyce. Mossakowska przedstawia czytelnikom wycinek z codzienności asystentury niejakiego Michaela przy kontrowersyjnym, perwersyjnym, zmanierowanym i genialnym mistrzu kuchni, szkolącym kulinarnie elitarnych nuworyszy swojego środowiska. Perełka opisowa.

Tym bliżej więc wypada kolejna propozycja „Opowiadań szkolnych”, czyli **„Szkola kobiecości” Moniki Mostowik**. Spowiedź-wyznanie dziewczynki-chłopczycy – trochę psychologii, a trochę psychologizowania... Takie coś już wielokrotnie wykorzystano i nawet pokryto patyną wyświechtania, tak więc...

Daniel Odija i jego **„Rybaki”**, czyli z kolei powtórka wspomnieniowa niedoszłego rybaka Kima, któremu majaczy się jego kochana-znienawidzona szkoła rybacka. Pierwszy rejs, przepychanki między „kotami” a starszymi rocznikami, zaskakujące pierwsze obowiązki stażowe na statku... Wszystko pod nostalgicznym hasłem „Stary człowiek i brak morza”. Sympatyczne.

Ewa Ostrowska (nazwisko-klasyka) jak zwykle nie zawiodła. Jej **„Bardzo długa lekcja”**, czyli historia nauczycielki o przydomku Straszdyło, neurotyczki z urazem obozu koncentracyjnego, znienawidzonej i w końcu ośmieszanej przez swoje uczennice, jak większość rzeczy, co są klasyczne – po prostu dobre. I znów na takim tle odbiło się dość niekorzystnie następne opowiadanie, czyli **„Wiadukt” Macieja Przepiery**. Główny bohater „Wiaduktu” to Muniek, nierozumiany w rodzinie, prześladowany w szkole chudy, czytany nastolatek w okularach. Od początku wiadomo, że

„zrozumie” go tylko literatura i... nowa dziewczyna.

Trudno za to jednoznacznie ustosunkować się do tandemu literackiego **Michał Rusinek** i **Antonina Turnau**. Ich **„Plan Awaryjny”** to wewnętrzna analiza własnych uczuć pewnej młodej kobiety wobec swojego zmarłego w czasach szkolnych (jak się okazało zamordowanego) pierwszego chłopaka oraz obecnych odczuć w stosunku do męża. Opowiadanie kryminalistyczno-psychologiczne, no – z pewnością ciekawe. Za to **„Po dzwonku” Izabeli Sowy**, czyli opis małomiasteczkowej organizacji spotkania autorskiego ze „znanym pisarzem”, Stanisławem Furmanem z punktu widzenia miejscowych dzieci szkolnych, wypadło bardzo wdzięcznie i autentycznie. Do tego ten rzeczywisty komizm zderzenia zdrowego rozsądku milusińskich z napuszonym pietyzmem dorosłych...

Kolejny z pisarzy tomiku, **Bartek Świderski**, i jego **„Projekt Patryka”** to całkiem niezły opis nieprawdopodobnych zawiłań życiowych powodowanych przez niespełnione marzenia i frustracje hormonalne nastolatków. Główni bohaterowie opowieści: rudy, niedoceniany przez rówieśników i zakompleksiony, Frodo, jego starszy wiekiem idol, Patryk i ich wspólny szczeniacki projekt protestacyjny przeciw globalizacji (czyli miniwybuch u wrót miejscowego banku) całkiem przewidywalnie kończy się nie tylko sankcjami karnymi, ale i realnym zagrożeniem dla wyżej wymienionych bohaterów.

Peleton opowiadań kończy **Małgorzata Warda** ze swoją **„Historią spisanej na glinianej tabliczce”**, czyli dość ciekawą propozycją historii pseudo-fantasy. Jej pierwszoosobowa relacja głównych

bohaterów „Iliady” Homera z zaskakującym zakończeniem to miła kropka nad i w zbiorze „Opowiadań szkolnych”. Mam nadzieję, iż powyższy, niezwykle skrótowy, opis poszczególnych tekstów zachęci czytelników do dłuższego zatrzymania się nad polecanym tomikiem. Pretekst pedagogiczny zgromadził tam bowiem kilka ciekawych literacko opowiadań, kilka przeciętnych, kilka zaskakujących, przez które (jak przez okno) można znów zajrzeć w stare, pachnące pastą do podłogi, kredą i kochanym odorkiem kumpli, ściany budy. Na takie odwiedziny nie szkoda czasu, a do tego jakże krzepiąca jest świadomość, iż *to se ne vrati!*



Opowiadania szkolne,
Wyd. Prószyński i S-ka,
Warszawa 2007.

Chwila dla autora

Pierwsza książka Jasia Kapeli „Reklama” nie zrobiła na mnie wielkiego wrażenia i byłem przekonany, że nazwisko to długo „nie posiedzi” w literackim światku.

W pierwszym odruchu myślowym po przeczytaniu tej książki pomyślałem, że to chyba Macierzyński zrobił sobie żart i swoje najgorsze wiersze wydał pod innym nazwiskiem. Teraz okazuje się, że porównanie Kapeli z Macierzyńskim jest dość powszechne. Nie wiedziałem tylko, że, jak pisze Bartosz Sadulski, Kapela jest jedynym współczesnym poetą, którego znają licealiści. Być może tak jest, ale nie w mieście, w którym ja mieszkam. Korporacja Ha!art., która publikuje Kapelę, musi rozwinąć jeszcze reklamę w mniejszych miastach, upowszechnić czytanie w małych liceach. Również sam Jaś Kapela mógłby częściej jeździć w miejsca zapomniane, ale rozumiem, że tam nie można się tak skutecznie lansować jak podczas słamów. Bo zdaje mi się, że każdy kontakt z pisaniem czy czytaniem wierszy przez Kapelę ma być chwilą dla niego, nie zaś dla czytającego.

Co do słamów, bo Kapela jest bardzo popularnym słamowiczem i wiersze swoje też „pod publiczne wygłupianie się” pisze, to mam wspomnienie. Kiedyś, kiedy miałem lat osiemnaście, też publicznie czytałem swoje wiersze wraz z kolegą, ale robiliśmy to podczas

dyskoteki w małym mieście, gdzie nie uchodziło to za coś, co może przynieść czytającym chlubę. Ewentualnie można było zainkasować kilka strzałów w zęby. Słamy uważam za wzajemne łechtanie się. To raczej wytwórnia poetów, którzy nie wierzą, że to, co napisali, godne jest czytania przez kogokolwiek, więc robią sobie z tego żarty, odbierają nagrody, piszą o tym w blagach, głaszczą się wzajemnie. Rośnie im wówczas ego do niewyobrażalnych rozmiarów. Mam nadzieje, że i tu panuje zasada: od każdej reguły są wyjątki.

Tak też ego urosło Jasiowi Kapeli, który każdy wiersz poświęca sobie, by udowodnić jaki jest inteligentny, jak on rozumie ten konsumpcyjny świat. Z nikim i z niczym jednak nie dyskutuje. Nie zadaje pytań, nie szuka odpowiedzi. Stwierdza np. że jest chujem, ale stara się być bardziej sercem niż chujem i tak powstaje wiersz pt. „Algebra tajemnic”. Tylko że w tym tekście nie ma żadnej tajemnicy. Przy pierwszej książce można było na to przymknąć oko. Niestety, jeśli poeta drugą książkę poświęca temu samemu tematowi, czyli sobie, tak odtwórczo, tak płytko, jak to zrobił Kapela w „Życiu na gorąco”, można popłakać się z nudów. I rzeczywiście „Życie na gorąco” czyta się ciężko, bo nuda tu panuje jak nigdzie. Powiedziałbym, że wiocha zupełna, ale na wsi chociaż można z

kimś przy drodze pogadać, natomiast w tej książce jest tylko autor. A on nie ma nic ciekawego do powiedzenia. Nie ma tu jego świata. Jest tylko złość, że Kapela nie jest jeszcze tak popularny jak bohaterowie jego wierszy np. Janusz Gajos, Zbigniew Wodecki, Anna Mucha, Ewa Drzyzga i inni.

Tom podzielony został na trzy rozdziały. Pierwszy to „Plotki”, w którym autor pisze o ludziach sławnych jakiejś bzdury. Choćby to, że omal nie przejechał Anny Dymnej. Drugi to „Porady”. Tu parodiuje reklamy witamin, leków; nabija się z ludzi nadmiernie dbających o zdrowie, traktujących siebie jako produkt. Fajne. W trzecim rozdziale zatytułowanym „Z pamiętnika nimfomanki” Kapela pisze chyba o sobie.

Kiedyś napisałem, że widzę w wyobraźni twarz Piotra Macierzyńskiego na koszulkach gimnazjalistów. Tylko że Macierzyński jest poetą, który ma sprawę do ludzi, do siebie. Jaś Kapela takiej sprawy nie ma. Być może nie wie nawet, o co mu chodzi, może się nad tym nie zastanawia, bo jego celem jest tylko popularność. WPADŁ zatem na pomysł, by wyśmiać wszystko, co konsumpcyjne, popularne, bo to może przynieść jakąś popularność. W tym co robi jest konsekwentny, jednoznaczny, zatem nudny. Bo jak może być ciekawy wiersz o śmierci Ewy Sałackiej, zmarłej na skutek uządlenia przez osę, w którym autor nas o tym informuje po czym stwierdza:

„Konieczna była tracheotomia.

Na szczęście jej mąż, lekarz, był w pobliżu,

Niestety był gejem i miał romans z sąsiadem”.

(„Umrzeć jak Ewa Sałacka”)

Ja nie jestem tak wyluzowany, bym mógł przejść obojętnie obok czegoś takiego. Wydaje mi się to jednak przesadą. Kapela buduje swoją legendę, wypisując głupoty o innych ludziach. Równo kroi wiersze wpadające w ucho. Liczy się tylko efekt.

A może Kapela chciał napisać książkę o agresywnym konsumpcjonizmie, w którym człowieka nie ma jako kogoś zdolnego do refleksji. Idąc tym tropem należałoby stwierdzić, że Kapela stworzył książkę nie tyle o sobie, co o bohaterze, którego nikt nie chce zobaczyć ani usłyszeć, dlatego teraz, ów bohater, tak głośno krzyczy. Próbuje pokazać choćby palec z tego chaosu tabloidalnych wieści. W tym gąszczu ON JEST, ale my nie wiemy gdzie, więc woła, krzyczy, próbuje nam pomóc w namierzeniu. Wiadomość o śmierci człowieka pomieszana z trywialnymi niusami o tym, że ktoś się przewrócił, miał zajęty weekend, tworzą niezły śmietnik, w którym można się zgubić. Z tego punktu widzenia nie dziwi, że bohater stawia obok siebie śmierć, homoseksualizm i Annę Muchę. Pierwszy tom był oczywiście zaskoczeniem, ponieważ nie przypuszczałem, że można drukować takie teksty. Pomyślałem nawet, że mamy szczęście, że istnieje Ha!art., bo kto inny mógłby opublikować wiersze, które nie są ciekawe, ale być może są jakimś głosem najmłodszego pokolenia poetów. To bardzo wyraźne, „głośno mówiące” wiersze. Szkoda tylko, że Kapela nie ewoluuje, nie rozwija się. Wiersze autora

można polecić ludziom zajmującym się recytacją, bo do tego teksty rzeczywiście się nadają.

Mimo wszystko nie chce powiedzieć, że uznaje za błąd wydanie tej książki. Może to jednak jakiś znak czasu, może rzeczywiście ta poezja jest czytelna dla licealistów. Pozostaje tylko czekać na trzeci tom poezji Jasia Kapeli, bo, jak sądzę, nie odpuści sobie, i mieć nadzieję, że będzie ciekawiej.



Jaś Kapela,
Życie na gorąco,
Wyd. Korporacja Ha!art,
Kraków 2007.

Z-Lynch-owana rzeczywistość

„Miałam tylko dwa zdania i nieograniczoną wyobraźnię” to słowa debiutującej pisarki Pauliny Bukowskiej, które stanowią punkt wyjścia do zanalizowania jej debiutu powieściowego. „Niezidentyfikowany obiekt halucynogeny”, bo taki tytuł nosi książka, to, jak twierdzą okładkowi recenzenci, „niezliczona gama obrazów, metafor i wizji”. Czy jednak powieść siedemnastoletniej autorki jest czymś więcej?

Przenieśmy się w krainę snów, występującą w powieści jako Miasteczko Miłości. W nim spełniają się najskrytsze żądze, perwersyjne pragnienia łysiejących panów po pięćdziesiątce. Usługi świadczą tu predysponowane do rozkoszy Pokoleniówki, których życiową pasją jest sprawianie przyjemności swym klientom. Jednak dzielnica czerwonych latarni to tylko część surrealistycznego świata, na który składa się także strefa handlowa z błyszczącymi witrynami sklepowymi i wystylizowanym tłumem pseudodżentelmentów ze znakomitych rodów.

Poza murem natomiast istnieje świat realny, szary, bez wyrazu, w którym żyją normalni ludzie ze swymi bolączkami, trudami i kalectwem. Z tej szarej rzeczywistości pochodzi główny bohater,

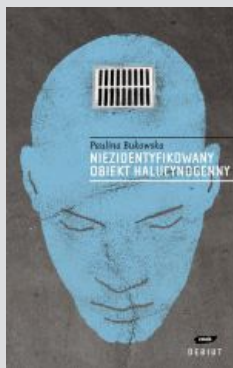
który wymyka się do baśniowej krainy wyprzedazy i wolnej miłości. Tam też kreowana jest jego nowa tożsamość, a tajemniczy jegomość, spotkany przypadkowo, nadaje mu imię Feliksa Baltazara Dwudziestego Drugiego z Dynastii Mordojebów.

I na tym należałoby zakończyć analizę jakichkolwiek faktów możliwych do wychwycenia przez czytelnika. Metaforyczna otoczka towarzysząca całej powieści to potok bezsensownych słów, nielogicznych stwierdzeń i rozmytych wątków. Mimo usilnych starań stylizowania „Niezidentyfikowanego obiektu halucynogennego” na twórczość Lyncha czy Kubricka, autorka osiąga dalece niezadowolający efekt. Wprowadzanie do toku narracji coraz to nowych, dziwniejszych postaci, niepowiązanych w żaden sposób z resztą bohaterów, przyczynia się jedynie do stworzenia jeszcze większego chaosu.

Konsekwencję w kwestii bohaterów można dostrzec jedynie poprzez wątek występujących w nim dwu postaci, czyli głównego bohatera i przypadkowo spotkanej dziewczyny na wózku inwalidzkim. Cała reszta stanowi rodzaj narkotycznej halucynacji, po zdecydowanie nieokreślonym specyfiku. Jedyne co utkwilo w mej pamięci i co

zasługuje na pochwałę, to dwa fragmenty, które, mam nadzieję, nieprzypadkowo się w niej znalazły. Pierwszy – to dywagacje nad tym, czy seks ma płęć, zakończone pytaniem: „powiedz mi, kim jest twój Bóg, a powiem ci o twoim życiu seksualnym”. Drugi natomiast, to wątek egzystencjalno-filozoficzny, pytanie rzucone w próżnię, pozostawione bez odpowiedzi: „Kim jesteście pośród mętnego świata, wy manekiny?”.

Zatem, o czym jest ta książka? Być może jest o młodym człowieku, którym niczym romantyczny Werter, rozdarty jest między być a mieć. Być może jest o konsumpcyjnym świecie, którego chcemy być częścią, a który równocześnie nas przeraża. Mogłaby być również zapisem snu, w którym wszystko jest możliwe. Mogłaby mówić o tym wszystkim, gdyby Paulina Bukowska zdecydowała się choć w niewielkim stopniu książkę uporządkować, a wodze wyobraźni popuścić w kierunku pytania: „Dlaczego, człowieku, poszukiwać uczuć przy sercu, tych gorących myśli, pachnących motylków w żołądku...”.



Paulina Bukowska,
Niezidentyfikowany obiekt
halucynogeny,
Wyd. Znak,
Karków 2007.

Pezzonovante kaliber 90



1.
Stałem pijany na środku drogi. Z samochodu, który kilka chwil wcześniej wylądował na drzewie, wysypali się pasażerowie jak jakieś pieprzone cukierki z rozerwanej torebki. Kierowca wstał i uderzył mnie w twarz. Pomyślałem, że w tej samej chwili przez cały świat przewalilo się milion podobnych wypadków, a jednak to mnie dostaje się w

ryło. Potem upadł. Z ust popłynęła mu krew. I to jest dusza? Tylko dusza może przybrać tak precyzyjny kształt. Miałem piętnaście lat. Wszystko było proste. On jechał zbyt szybko, a mój rower znalazł się przed maską jego samochodu. Byłem jedynym świadkiem zdarzenia. Komuś musieli uwierzyć. „Brawura i głupota”: orzekł sąd i zamknął sprawę.

2.

Nieustannie gonimy za abstrakcją przybierającą kształt psa o nadludzkich kłach. Tak pewnie wyglądał Szatan, zło w pierwotnej postaci. Taki obraz męczył mnie w snach, w których latałem wolny od ciężaru cielesności. Antretravi pojawia się coraz częściej. Zbyt często. Jest taki dumny, jest artystą, zajmuje się teatrem i mną... trochę. Tak przynajmniej mówi.

Dla Pezzo najważniejsze jest „sprzątanie”. Ludzie w Nowym Jorku, ludzie z dzielnicy Soho; dzielnicy sklepów, burdeli i bulwarowych teatrzyków, wciąż powtarzają: „Tam gdzie są wielkie pieniądze, nigdy nie śmierdzi, gdyż regularnie wywozi się wszystkie śmieci za te ogromne pieniądze.”

Pezzo urodził się w Soho.

Antretravi często ironizuje. Urodziłem się zwyczajnie. Nie było to zresztą trudne, po prostu wylałem z brzucha matki i zacząłem krzyczeć. Dostałem w dupę, więc jeszcze mocniej się rozwrzeszczałem. Tak zapewne rozpoczął się żmudny proces kształtowania siły mojego charakteru.

3.

Nie rozumiesz. Artysta zadaje pytania gdyż musi wiedzieć – wszystko – zwłaszcza reżyser. Robię teatr, wyrazisty, własny, prosty, a do tego a b s t r a k - c y j n y . Tak nie boję się powiedzieć tego słowa; abstrakcja zawsze jest i będzie w modzie. Dzięki abstrakcji mój teatr jest oryginalny, organiczny, prawdziwy. Wszelkie odchylenia od normy są – zazwyczaj – niezauważalne. Zapytaj mnie lepiej, co będą robić aktorzy w moim teatrze? A skąd mam wiedzieć, co

ja pieprzona mać, czarodziej! Wykończę ich.

Wszystko z miłości do teatru!

skazani słusznie na lęków niewolę odgrywamy dawno zapomniane role kłopotliwie walczymy z zazdrośną myślą i nieświadomą samotnością

Na pierwszej próbie zadałem, wydałoby się, proste pytanie: Cioteczki, robimy teatr, czy tylko bawimy się w przebieranki? Mnie, reżysera pytają, dlaczego muszą nosić kolczyki i pierścionki. To przecież teatralny kostium. Ale nie podoba im się, że noszą je także pedały, świętojeblowi sekciarze i niespełnieni artyści. Ja się czepiam? Przy całym szaleństwie, mój teatr może być chyba odrobinę popieprzony!

To oczywiste, że aktor jest ciotką. To nie moje słowa, tylko tego faceta siedzącego w siódmym rzędzie – jakiś podstarzały reżyser manipulujący przy rozporoku sąsiada. Niech grzebie, mimo wad jest jedyną osobą, która wytrzymuje ten przydługi monolog. Może zasnął. Nie jestem sprytny. Nie wiem, co to wyrafinowanie, choć mam więcej niż przeciętną wrażliwość plus charming, czyli coś, co Angole uważają, że posiadają. Boli mnie, że Pezzo ma nienajlepsze zdanie o artystach – o mnie. Ale prać brudne skarpetki ktoś musi!

Spokojnie. Kocham ciebie i te twoje fikuśne przebieranki.

Kochasz?

Tak samo jak swoją dzielnicę. Kocham to miasto, kocham mój kraj. Dlatego oburza mnie, że w głównym kanale telewizyjnym mego kochanego kraju pokazują faceta, który wypił to, co naskikała jego żona. Wścickł się, to jeszcze

mu wpięprzyła, dzięki czemu przeżył swój wyjątkowo intensywny orgazm. Oglądała to cała Ameryka. A wszystko pod hasłem: „Ameryka to wolny kraj!” I jak tu być obojętnym wobec tej wolności? Ciekawe, co na to równie wolny w wyznaniu i równie uczciwy wobec siebie Talib. Czy jego sezamowy harem, pełen zaklętych w burki dziewczynek i młodych chłopców, ciągnących z pasją laski swym panom, niczym nie różni się od wyżej wymienionego niemniej wysublimowanego amerykańskiego snu? Arogancja uzdrowicieli narodów doprowadza mnie do wściekłości. Oni potwierdzają, że zło jest doskonałe, jeśli przyjmie formę akceptowanego rytuału. Jak rewolucyjna chińska regulacja narodzin. Gwałty, kalectwa, bezdomność, sieroctwo i niesłuszne posądzenie, to wszystko zafundowała nam rodzina w swojej kulturotwórczej potędze. Ale rodzina nie jest zła. Może dlatego tak kocham swój kraj. W mojej dzielnicy, w Soho, bez kłopotu spotykają się na ulicach i w alejkach kłoszardzi i celebryci, najbiedniejsi i najbogatsi – bliscy krewni tego samego gatunku. Bo to wolny kraj! A jeśli istnieją tacy, którzy nie potrafią z tej wolności korzystać przynajmniej mogą bezkarnie łązić po ulicach. Dlatego niczemu się nie dziwię? Nie wypada się dziwić.

Kiedy pojawiła się po raz pierwszy, pokój wypełniała nuda zmieszana z kwaśnym oddechem zatroskanego Szefa. Zachowałem się chyba normalnie i zadałem pytanie:

Jak nazywa się kraj, w którym rządził Mao Tze Tung?

I jaką słyszę odpowiedź od radosnej nastolatki:

A, to tam, gdzie odbyły się wybory Miss Świata!?

Zgadła? Ja cię pierdołę.

Potem ona zadaje pytanie:

Charakterystyczny produkt znanej firmy kosmetycznej FA?

Odpowiedziałem, zgodnie z prawdą: FA-aaaa-jne cyczuszki.

Popukała się w głowę. Powiedziała, że nie lubi zabaw ze starszymi facetami, nawet za baaardzo duże pieniądze i odeszła.

W tym wieku zasady? Nawet Talibowie mają lepiej. W ich świecie miałyby już trójkę dzieci, a facet rozczarowany jej zmarszczkami, kupiłby drugą żonę lub kochankę. Młodszą.

4.

Tylko sobie znanymi sposobami dowiedziała się, że zakładał teatr. Dopadła mnie w męskiej ubikacji i zażądała: Chcę zagrać w twoim teatrze!

I jeszcze tej samej nocy była u mnie, ze mną.

Nie powinno cię tu być. – Milczała obrażona. – Dłużej niż mogę na to pozwolić, ha. ha!

Tarzaliśmy się do rana, a jej drobne cyczuszki podskakiwały w rytm moich bioder.

Co to za mina Antretravi? Przecież nie lubisz kobiet...

Muszę przyznać, że Szef stanowił pociągający kąsek. Nie, nie to, o czym myślicie. Jest świetnym aktorem. Łysy jak Marlon Brando z ochryplym głosem, oszczędny w ruchach, trudno byłoby mu nie zaufać. Musiałem go mieć. Odrzekł: Dla przyjaciół zrobię wszystko, choć nigdy, pamiętaj nigdy, nie zagram cioty! Uff... Co za deklaracja?

5.

Od czasu do czasu mojej piętnastce udawało się wymknąć spod kontroli Szefa, by nastukać się ziołem. Nie szanowałem ludzi, którzy robią sobie takie rzeczy, ale ona przynajmniej potrafiła tańczyć. Mała kobietka o gładkiej skórze i diabolicznych oczach. Mała kobietka o bezwstydnej duszy. Szef, jakby mimochodem, zapytał, co sądzę o jego córce. Zwierzył się, że swoje pierwsze dziesięć bilionów zarobił nielegalnie, lecz teraz postanowił żyć uczciwie i zamienił cały majątek w akcje, obligacje i nabył sto tysięcy hektarów ziemi w tym: trzydzieści jezior i połowę morskich plaż. Miał też kandydata na swego następcę, któremu powierzał nie tylko majątek, ale i córkę wraz z potencjalnymi wnukami. Mnie zamierzał zatrzymać przy sobie, gdyż miał jakieś stare nierozliczone długi, poza tym był tak piekielnie bogaty, że obawiał się o życie swoje i rodziny. Szef miał kandydata. I ten kandydat był znacznie młodszy, czyli miał lepsze referencje.

Dlatego jeszcze tego samego dnia dałem młodej w pysk i mocno ściskając za pośladki wyrzuciłem z domu. Zdążyła mnie podrapać i opluć. Nie powiem, było przyjemnie. Cieszę się, że jej aż tak bardzo zależało. Szef podziękował mi. Wtedy, po raz pierwszy, zasłużyłem sobie na jego szacunek. Kilkanaście minut później była w twoim teatrze.

Oczywiście, odmówiłem. W moim teatrze kurwić mogą się tylko gwiazdy! Choć muszę przyznać, że z klasą przyjęła odmowę... nie porzucając przy tym myśli o śmiesznej zemście. Wciągnęła w tę morderczą zabawę brata. Egzaltowany chłopczyk, jeszcze tego samego dnia, wpadł z wraskiem za kulisy teatru,

demolując dekorację.

Potem zrozumiałem, że Szef ma w dupie konwenanse. Ludzi oceniał ze względu na okres przydatności a wrogów różnicą ceny, za jaką mógł ich kupić. Skąd mogłem wiedzieć, że wszystko miało zostać w rodzinie? Że to brat jest tym, którego namaścił na swego następcę? Ale brat z siostrą? Szef twierdził, że jest adoptowany. Chyba smykowi trochę zazdrościłem.

Młoda, zesłana na stary kontynent w celu studzenia popędów, myślała wyłącznie o zemście...

...i karierze aktorki.

Niestety, to nie koniec historii z zazdrośnym bratem w tle. Drogi Pezzo, mógłbyś lepiej pilnować tę swoją rodzinę. Wściekłem się, gdy unioś do mojego teatru ten niepotrzebny bagaż wrzasków i pretensji. I jeszcze banalny pistolecik. Gdyby wiedział jak często-gęsto ściele się trup w teatrze. Dlatego z pełnym przekonaniem musiałem dopisać do tej sceny kilka dialogów.

I dopisałeś.

Nie bądź taki skromny. Zagrałeś – i to jak.

6.

Zanim zamkniesz drzwi, udowodnij, że jesteś tu przypadkiem?

Odpowiedział: Siostra jest w trzecim miesiącu ciąży.

Nie trzeba było jej dotykać.

Nie pozwolę jej skrzywdzić! Ona mówi, że dziecko jest twoje.

Czym różni się miłość partnerska od braterskiej? - Rzuciłem z filozoficzną flegmą i zaraz dodałem. – Tym, że teraz

będę musiał cię zabić.

Nie możesz. Wiesz, kim jestem?

Jest ciemno, a ty masz w dłoni mój rewolwer, To rekwizyt, ale skąd mogę o tym wiedzieć? I celujesz nim we mnie.

Na twarzy masz jedną z moich haitańskich masek, dlatego nie rozpoznam twojej twarzy. Strzelam, gdyż nie mam innego wyjścia.

Jest przerażony. Głoś mu drży.

My... mamy... dziecko...

Strzelam i więcej o tym nie rozmawiamy.

A każde „albo” jest jak wystrzał z rewolweru.

Albo:

Wchodzi i przeprosza, że bez zapowiedzi... Idiotyzm. – Ale mamy problem, zbyt poważny, by mówić o tym ojcu, dlatego mogę zaufać tylko tobie, osobie, którą tak nienawidzę.

Czemu właśnie teraz?

Ona pana potrzebuje.

Wolę od razu cię zabić, potem twoją siostrę i jej dziecko, matkę, ojca i całą rodzinę, wszystkich ochroniarzy, całą armię, bo jeśli ON, Szef, nasz OJCIEC, dowie się o wszystkim, to wiem..., że będzie najszcześniejszym facetem na ziemi. A ja tego nie zniosę. Poza tym nie lubię *happy end'ów* – Potem strzelam mu w łeb i chowam zwłoki w jednym z pudeł.

Albo:

Wpada zdyszany i po chwili wysapuje: Mamy problem.

Niech przyjdzie do mnie, jest jeszcze dość czasu, można wszystko odkręcić.

Kocham ją!

Dlatego daję mu w mordę i wrzeszczę: Co ty wiesz o miłości? – I już nie panuję nad sobą i strzelam mu w łeb, zwłoki pakuje do pudła z maskami, które następnego dnia pokryją całą powierzchnię

pobliskiego stawu.

Albo:

Przyjechałem pana prosić... – Milczę – Jesteś przyjacielem ojca, mojej rodziny...

Rodzina to dar, nie możemy jej zawieść. Dlatego palnę ci w łeb, gdyż złamałeś jedną z najważniejszych zasad, a twojej siostrze z rozkoszą wyciągnę cały grzech spomiędzy nóg. A twój ojciec być może z początku będzie trochę nieszczęśliwy, ale potem mi podziękuje. Tylko ja dbam o tę rodzinę. Potem nagrodi i podziękuje!

Jesteś szalony!

Bzdura! Rozejrzyj się! To miejsce jest szalone. Buda jarmarczna, co tu jest takiego intrygującego prócz wołtyzerki i gołych cycków szansonistek? Cudownie nietrwały, sezonowy materiał tylko dla wybranych. Miejsce, w którym zemsta sownie wynagradza próżność publiczności!

Potem oczywiście strzelam. Pocisk, po przejściu przez jego chude ciało i odbiciu się od metalowych okuć biurka, trafia w mój brzuch i rozrywa wątrobę. Po pięciu minutach wykrwawiam się i umieram. A moja dusza błąka się nieodnaleziona, gdyż ludzie zapomnieli o niej. Zapomnieli ją wyciągnąć. Ciało wrzucili do głębokiego rowu, mimo że głośno krzyczała, zasypali ją brudną i lepką ziemią. Teraz czeka – nie wiadomo na co.

7.

Podniecała mnie ta jego młodzieńcza pewność decyzji, oszczędność nie wynikająca z upierdliwego planowania dojrzałości. A przecież cała historia mogła potoczyć się zupełnie inaczej. Mógł przyjść i zapytać, czy może dostać jedną z ról. Miałem ochotę obsadzić go w roli

księcia. Miał przecież jak cała cholerna rodzinka niewąski talent, aktorskiego nosa. Był pięknym chłopcem, dlatego wiedział, że na wszystko się zgodzę. Młody i kobiecy... Tyle gadania i tylko po to, by przedstawić jakąś nieskomplikowaną historię królewskiej rodziny. To pytanie kieruję do ciebie Drugi. A potem była pra-premiera pewnej idiotycznej farsy karnawałowej. Z fajerwerkami, wygłupami, popisami aktorskimi. Lunapar teatralny przyciągał tłumy. Ludzie kochają sensację, seks, morderstwa i wymioty. To na początek - miałem przecież większe ambicje. Pewnie dlatego następny projekt nie był już tak chętnie oglądany, gdyż władze miasta opodatkowały wszystkich artystów, a ci obraższy się na władzę zaczęli grać. Na niedzielne seanse publika przestała przychodzić, mimo że zakazałem im grać w ten taki przekonujący prawdziwy sposób. Ale uparli się. Zaadaptowałem fragmenty szekspirowskiego Hamleta, choć zostały poddane solidnym przeróbkom. W mojej wersji powstała tragikomedialna pod tytułem „h'Omlet, książę patelni”. Pozwoliłem sobie nawet na pewne teatralne eksperymenty. Gdy przerabialiśmy fragment dotyczący pikantnej zemsty Hamleta, po raz pierwszy skorzystałem z autorytetu i zdecydowałem, że pięciu alfonsów-eunuchów zrobi osobny teatrzyk w teatrze i odegra okrutną scenę śmierci ojca.

Ale co zrobić, gdy alfonsów-eunuchów grają kobiety? Gdy im cycki podskakują w tańcu, a wąsy wciąż się odklejają?

8.

W jakiś sposób moja zjawiskowa nastolatka uciekła z zesłania i wróciła do Soho. Niepotrzebnie tak się spieszyła, choć rozumiem i doceniam jej zapał.

Podniecała mnie, ale jeszcze bardziej podniecała swego przybranego brata, który gdy tylko ją ujrzął – zemdlał. I jeszcze tej samej nocy zastrzelił ją tym swoim malutkim banalnym pistoleciem. Leżała teraz starannie zawinięta w szmaty. Zanim ją pochowałem, wyciągnąłem z niej tę jej przepiękną diaboliczną duszę.

Wrzucisz ciało do bagażnika. Postaraj się nie nabrudzić. Co ojciec? Wiesz, że muszę mu powiedzieć. Wiem, że nie jest twoim prawdziwym ojcem, ale on widzi to inaczej. Nie, to nie jest wstyd być alfonsem kuzynki, córki brata własnego czy przybranego ojca... siostry. Kochałeś ją, dbałeś o nią. On cię zrozumie... Na twoim miejscu zrobiłby tak samo... Wiem, że ty też go kochasz. A potem, nie wiem, dlaczego to powiedziałem.

Już po wszystkim, zrobiłeś to. Jesteś teraz mężczyzną. Weź się w garść a najlepiej za jakąś cholernie spokojną robotę. Nie wiesz, co robić? Sprzedawaj hamburgery. Za 30 lat dorobisz się emerytury, kupisz małe mieszkanie na dziesiątym piętrze, z którego rozciągać się będzie wspaniały widok upstrzony takimi jak ty, wypatrującymi przez okno. To cię uspokoi, potwierdzi sens wyboru. Którejś nocy zaśniesz i już się nie obudzisz, gdyż dwóch zamaskowanych zbirów – może jednym z nich będzie ja – wyłamie zamki i wejdzie do twego malutkiego mieszkania i wpakuje ci w brzuch nóż, prując flaki aż po szyję. Z ostatnim oddechem wyleci nie tylko dusza, ale i wciąż żywe marzenie o zemście. A my złapiemy twoją duszę i uprowadzimy w noc. Zaśniesz, a gdzieś w tym czasie, w którymś z podobnych mieszkań i podobnym łóżku, dwie komórki łączą się, w równie niejasne i zwariowane ży-

cie. Pewnie nieprędko narodzi się nowy Hamlet. Zaakceptuj swoją rolę, kiedyś i tak umrzesz. Dlaczego masz wiedzieć, w jaki sposób? Nie, nie mogę ci inaczej pomóc. A tej rozmowy nie było. Zagoniłem go do roboty, a sam włożyłem się po wyludnionym mieście. Próbowałem zasnąć na ławce w parku, pełnym obwisłych wierzb i niepokojącego pohukiwania rzeki. Nagle zrozumiałem. Przecież ja mogę grać rolę szefa, mogę zostać ojcem rodziny. Postawa, poglądy, temperament wyjątkowo mnie predysponowały. Jest nadzieja. Szef zadziwiająco wcześniej pojawił się w Soho i już na wstępie zakomunikował, że zmajstrował swej nowej Key Account Manager dzieciaka. Od tej pory ma wszystko w dupie, zamyka interes, gdyż taka okazja przekazania genów, czyli uzyskania pośredniej nieśmiertelności, już mu się należy. Dodał również, że jest zbyt stary i powinien przestać zajmować się niebezpiecznymi sprawami. Teraz musi dbać o rodzinę. Nie dochodziło do jego pustej bani, że jego Key Account Manager, a zdecydowanie bardziej jej bękart, jest wspólnym dziełem wszystkich chłopaków z firmy. Za bardzo się przejął, zapomniał, kto naprawdę należy do tej rodziny. Musieliśmy mu uświadomić, że nie warto inwestować w Key Account Manager *and* jej przyszły Syn. Mięliśmy niepisana zasadę, by nie posuwać dziewczyn najbliższych przyjaciół i kolegów. Siostry owszem, ale nie żony. A Key została w końcu jego nową żoną... Cóż... Szef ledwie radził sobie z libido, a ta jego nowa klacz, była zbyt gorąca. Różnęła się na prawo i lewo. Nic dziwnego, że pojawiły się plotki. Szef zaczął coś podejrzewać. Zagraliśmy w pokerka i wypadło, że ja mam pozbawić go tych wszystkich wątpliwości. Był dla

mnie jak ojciec, dlatego nie myślcie, że było łatwo.

Od piętnastu minut leżał związany na biurku swego wypasionego gabinetu. Wyrwę ci to, choćby z samej dupy! Na początku trochę się wściekał, straszyl, potem tylko błagał i jęczał. Rozbrałem mu rękami brzuch. Grzebałem w środku, aż znalazłem w jego odbycie wyjątkowej wielkości diament. Kiedyś, ze swoją reputacją wielkiego miłośnika wszystkich zakazanych przyjemności, był dla mnie takim diamentem ideałem. Nieco nieoszlifowanym, ale jednak kryształem. Jasna postawa, zdecydowane poglądy, czyste zasady. Dla uchybień i marnotrawstwa zawsze wykombinował jakąś karę. Gdy z zimną krwią zabijał ludzi, płakał, jakby jego rozdarta dusza oczekiwała zadośćuczynienia. Zawsze pełen szacunku wobec życia. Trudno, żebym nie podjął próby dorównania ideałowi.

9.

Od początku miałem kłopot z nową sztuką. Musiałbym złamać zasadę, kompozycyjny porządek. Myślałem, czekałem, aż któreś nocy doznałem swoistego olśnienia. Akcja rozgrywać się będzie nie, jak z początku planowałem w burdelu, lecz w nocnym klubie dla gejów. Tylko, co to za różnica? A taka, że przynajmniej ja nie będę zgrzytem w tej scenerii. To, że król jest gejem i nie garnie się do reprodukcji pozwalało także zrozumieć, dlaczego wdowa zdecydowała się na powtórne zamążpójście. Linia szalonego rodu kończyła się w jego nieplodnych lędźwiach. Poza tym królowa okres rozrodczy też już miała za sobą. Był oczywiście jeszcze prawowity następca tronu – Książę h'Omlet. Ale tak poza tym nic już nie mogło zburzyć spokoju rodziny. Król cieszy się szczęściem

królowej i ludu, status quo też jest chyba dobrym rozwiązaniem.

O ile wszyscy uznają status quo. Książę h'Omlet, syn brata, pod pretekstem zemsty za śmierć prawdziwego ojca pragnął wszystko poprzewracać do góry nogami. Pod pretekstem zemsty za śmierć ojca? Co za szaleństwo! Co on sobie myślał? Dlaczego jest taki uparty? Nikt tu nie działał na doping. Jesteśmy małą jednostką o niewielkich kosztach. Ledwie państwo w państwie, może i królestwo, ale nie mocarstwo, gramy w ostatniej lidze. Chce reform, nowoczesności. Chce większych łapówek, więcej dziwek na ulicy, kasyn, igrzysk, elektryczności, olimpiad. Do tego trzeba pieniędzy, właściwych ludzi, administracji. Jest młody, gorąca głowa i ja to rozumiem, ale co będzie później, gdy już teraz nie zaczniemy go wychowywać.

h'Omlet książę patelni, jak Hamlet szef Danii, wypełniając przodków wolę, wpakował cały świat w niefortunną domysłów niewolę. Pogubiłem się. I siebie gdzieś zagubiłem. Natychmiast przerwa, należy się nam duża przerwa! Piętnaście minut. Przerwa! Co o tym sądzisz Drugi?

Nic. Po prostu zajmę miejsce Szefa, ojca rodziny – *capo di tutti i capi*. To jedyne rozwiązanie ratujące sytuację.

Wspaniale! Ja zaś będę despotycznym, wrednym i dominującym gejem. Wszystkim pieprzonym łazęgom od pióra szczęki poopadają. To będzie prowokacja, sensacja lub kompletna klapa. Ale w każdym z tych przypadków dostąpię wniebowzięcia. Naturalne, że facet rządzi. A że nie jest do końca spełniony... Cóż, kobieta nigdy nie będzie mesjaszem. Co mam im powie-

dzieć, że skończyły się pomysły. Przecież robienie teatru jest takie proste. Ruszcie się. Każdy ruch to znak. Wystarczą dwa gesty, by stworzyć metaforę. Co mam im powiedzieć, gdy wszystko jest tak oczywiste. Takie kruche. Cóż z tego, że wampir publikli żąda nowych podniet, aktorskiego mięsa, krwistej zapłaty. Cóż z tego, że puchnę z dumy, a mój brzuch otłuszczony satysfakcją o mało nie pęknie – tam pewnie jest moja dusza. Po co to wszystko, skoro nie istnieję.

To, co robię jest perfekcyjnym trikiem. Jestem stwórcy teatralnego nieba i ziemi. Jestem artystą, który pozwolił sobie sięgnąć po abstrakcję. Jestem też filozofem. Dręcę się przypadkowością niezdefiniowanych rzeczy i zjawisk. Podejmuję wysiłek naśladowania Boga – zresztą, nie mam wyboru, jeśli taki kształt przybiera prawda. Lecz co mam robić, skoro oddalam się od ideału. Nie dano mi wyboru i dlatego – – – nie istnieję.

Zausze jesteśmy bliżej końca.

10.

Za każdym razem, gdy wpadałem w światło ulicznych lamp, zostawiałem zniechęcone kilometry. Światła reflektorów demonizowały najdrobniejszy ruch na drodze. Rower, który podskakiwał raz na jednym, raz na drugim kole, wydał mi się czymś nie na miejscu, czymś poza rzeczywistością. Gdy go mijałem, samochód wpadł w poślizg. Potem uniósł się wysoko nad sąsiednim pasem i z jękiem wbił w barierkę. W tej samej chwili adrenalina wpompuwała w moje mięśnie tony cudownej energii. Wskoczyłem z samochodu, lecz rowerzysta był szybszy. Uderzył mnie w twarz. Nie bolało. Nic mnie już więcej nie bolało. Jego twarz była tak bardzo

podobna do twarzy księcia h'Omleta. Uderzyłem ją, wydawało mi się, że wystarczająco mocno – tak by zabić – w tę jego smutną, ponurą twarz, lecz to ja upadłem, a potem – – – umarłem. Moja dusza. To musiało się tak skończyć, przywarła do ramy roweru i za nic nie chciała z niej zleźć. Od tej chwili był to niezwykle rower. Można było na nim latać.

Jesteście w błędzie, jeśli sądzicie, że kiedykolwiek istniał najdroższy łeb do odstrzału w Rzeczypospolitej! Nie chodzi o mnie, zależało wam na tym Drugim.

...bo usposobienie człowieka jest złe już od jego młodości
Księga Rodzaju

Brian Machado – Polak – łodzianin, choć z Kutna. Ma 33 lata. Rodzice przyjechali do Polski na miesiąc przed jego urodzeniem. Tata jest Portorykańczykiem, po nim odziedziczył nazwisko. Po mamie (oczywiście urodę) oraz to przedziwne imię. Legenda rodzinna mówi, że jest ono pokłosiem ataku śmiechu, jaki ogarnął mamę w trakcie oglądania filmu po tytule: „Żywot Briana” Latającego Cyrku Monty Pytona. Zaraz potem dostała skurczów i pojawił się na świecie. Mieszka w Łodzi, nie ma dzieci – nie chce nikogo narażać, ma bezobjawowe, niezwykle frustrujące napady chandry i złego samopoczucia. A wszystko dlatego, że skończył studia o specjalizacji teatrologicznej, co w głowie pewnej kucharki (o powalających zdolnościach obiadowych) objawiło się rodzajem wątpliwości poznawczej – zadała mu bolesne pytanie: Czy aby na pewno coś takiego można studiować w Polsce? Nie mógł pozostać obojętny na taką impertynencję, trzasnął drzwiami i wyszedł. Więcej nie skorzystał z tej jadłodajni. Nie publikował opowiadań i sztuk teatralnych, za to teatr o wdzięcznej nazwie Teatr ab'SURDUT – *leniwe oko* z siedzibą w Łodzi, zaproponował mu wystawienie sztuki pod tytułem: „ventriculus”. Termin premiery koniec kwietnia 2008 roku.

www.portret.org.pl